

# TRZEBA WIELKICH TWÓRCÓW POKAZAĆ JAKO PRAWDZIWYCH LUDZI

Z Jerzym Illgiem rozmawia Karolina Król



fot. Łukasz Gawroński

**W ostatnim czasie był Pan gościem konferencji *Ameryka Barańczaka*, która odbyła się na Uniwersytecie imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu. Czy mógłby Pan powiedzieć coś więcej o swojej znajomości z tym wybitnym poetą i tłumaczem?**

Pamiętam, co kiedyś powiedziała Wisława Szymborska: „Jurek to jest taki facet, dzięki któremu ludzie się spotykają”. Praca w redakcji wydawnictwa jest czymś wspaniałym. Trafiłem tutaj z uniwersytetu, gdzie pracowałem kilkanaście lat. W stanie wojennym się mnie pozbyto, co później okazało się największym dobrodziejstwem, jakie mogło mnie spotkać. Trafiłem do Znak i to właśnie tu poznałem wszystkich najważniejszych ludzi w moim życiu, których pewnie nigdy nie poznałbym, pracując na uniwersytecie i garbiąc się nad habilitacją. Praca w wydawnictwie wiąże się z możliwościami poznania wielu ludzi, czasem pozwala na zawiązanie przyjaźni. Tak było właśnie ze Staszkiem Barańczakiem. Nasz pierwszy kontakt był, siłą rzeczy, korespondencyjny. Przed jego wyjazdem z Polski nie znałem go osobiście, choć oczywiście wiedziałem, kim on jest, zawsze go podziwiałem. Znowu przywołałam tutaj Szymborską, która mówiła, że talent i fenomenalne zdolności Barańczaka można by wytłumaczyć tylko tym, że to jest zielony ludzik pochodzący z innej galaktyki – w ludzkim gatunku takie zjawiska przecież nie występują. Wszystko zaczęło się, pamiętam, w 1985 roku. Gdy w stanie wojennym trafiłem do Znak, zdałem sobie sprawę, że tutaj brakuje poezji, zaproponowałem na początek wydanie wyboru poezji Thomasa Mertona, a potem książek innych poetów, którzy byli wtedy objęci zakazem druku. Znak miał w tamtych latach wyjątkową pozycję – był wydawnictwem funkcjonującym oficjalnie, ale w porównaniu z innymi oficjalnymi wydawnictwami, gdzie obowiązywały listy proskrypcyjne, a redaktorzy nie chcieli się wychylać, Znak nie stosował autocenzury. Staraliśmy się na tę ścianę napierać i dzięki temu mój wspaniały szef Jacek Woźniakowski wydał pierwszy tom Miłosa po Noblu.

**W *Moim znaku* pisał Pan, że jako wydawnictwo katolickie Znak mógł pozwolić sobie na więcej swobody. Czy mimo to pojawiały się problemy?**

Oczywiście, że tak! Jeszcze wtedy, w latach 80., musieliśmy wszystkie nasze plany wydawnicze przedkładać w departamencie książki w ministerstwie kultury i oni wykonywali iście orwellofską operację. Plany te występowały w formie tabelki, gdzie trzeba było podać tytuł, autora, nakład, ilość papieru i tak dalej. Papier nie był przecież do kupienia na wolnym rynku, tylko trzeba było czekać na przydział. Ludzie z ministerstwa nie skreślali naszych propozycji. Żeby nie zostawiać śladów ingerencji,

zadawali sobie trud przepisywania tych naszych planów w takich samych tabelkach, z tym że nagle znikają z nich pewne nazwiska i pozycje, których nie można było wydać. Książki te nawet nie miały szans dotrzeć do Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, ponieważ znikają od razu po interwencjach departamentu książki. Pamiętam, że w 1985 roku takim przeoczeniem urzędników było przepuszczenie książki Bronisława Maja *Zmęczenie*. Broniek Maj był przecież na liście autorów objętych zakazem druku. Zgodę dostaliśmy na pół roku i w tym czasie musieliśmy wydać książkę – wiedzieliśmy, że w następnym półroczu taka szansa już się nie powtórzy. Krótko mówiąc, wpadliśmy wtedy z Bronkiem na pomysł poproszenia Barańczaka o posłowie do tej książki i on je napisał. Krótkie, ale świetne jak zwykle.

**Zatem to był Pański pierwszy kontakt z Barańczakiem?**

Tak. Później była Biblioteczka Poetów Języka Angielskiego. Pierwsze cztery tomy ukazały się w wydawnictwie Arka. W którymś momencie Staszek doszedł do wniosku, że nie chce tam dłużej publikować. Przeniósł się z tą serią do Znak i pozostałe tomy, od piątego, ukazywały się już u nas. To była okazja do stałych kontaktów korespondencyjnych – w sprawie przekładów, posłowania, okładek... Wszystkie listy w tamtym czasie wysyłaliśmy za pomocą faksu. Nasza gaździna pod Babią Górą, gdzie jeździliśmy na wakacje, nie mogła sobie wyobrazić, że faksy rękopisów Czesława Miłosa z Ameryki przeszły przez ocean, a kartka jest sucha i atrament się nie rozmażał... Przechowuję cały, obszerny zbiór korespondencji ze Staszkiem. W 1997 roku, kiedy już Miłosz osiadł na stałe w Krakowie, zorganizowaliśmy pierwsze Spotkanie Poetów Wschodu i Zachodu. To był pomysł Miłosa. Chciał, żeby teraz, kiedy mur dzielący dwa światy runął, poeci mogli się spotkać, wymienić poglądy, porozmawiać, czytać razem wiersze. Przyjechało wtedy blisko 20 poetów z różnych krajów, między innymi Paul Muldoon, po śmierci Heaney'a chyba najwybitniejszy dzisiaj poeta irlandzki, tworzący wiersze niesłychanie kunsztowne i, tak jak Barańczak, uwielbiający regularne metrum, rytm, rymy i tak dalej. Przed przyjazdem Muldoona do Krakowa jego teksty tłumaczył Piotr Sommer. Wpadłem wtedy na pomysł, żeby poeci przyjeżdżający do Krakowa z różnych stron świata napisali wiersz *Podróż do Krakowa* – albo wspomnienie z już wcześniej odbytej podróży, albo opisanie podróży imaginacyjnej. Jednym z najciekawszych tekstów, które otrzymałem, była właśnie villanella Paula Muldoona, niesłychanie kunsztowna. Do spotkania w Krakowie było już niedużo czasu, więc szybko poprosiłem Sommera o przełożenie tego wiersza. Powiedział, że od kilku miesięcy zmagają się z dwoma sonetami Muldoona i nie jest w stanie w tak krótkim

czasie przetłumaczyć wiersza tak kunsztownego. W piątek wysłałem do Staszka Barańczaka faks z tą villanellą i zacząłem swój list od słów „Panie, do kogóż pójdziemy...”. Przychodzę do pracy w poniedziałek, kiedy wieczorem w Teatrze imienia Słowackiego miał odbyć się ten wieczór, a w sekretariacie koło faksu leżą zwitki cienkiego papieru, na którym wówczas wychodziły teksty z faksu. Okazało się, że to villanella Muldoona, już przełożona przez Barańczaka w ciągu weekendu, i to tak cudownie, że jest chyba jeszcze piękniejsza niż oryginał. Zresztą, to mu się zdarzało. Czasem, jak tłumaczył Brodskiego, miałem wrażenie, że te przekłady są lepsze niż oryginał.

Bodaj w 1988 roku Barańczak zaczął któryś faks takim sformułowaniem: „Drogi Jurku, jako starszy pozwalam sobie bezceremonialnie narzucić Ci brudersaft przez ocean”. I w ten sposób przeszliśmy na ty, nie widząc się jeszcze ani razu, znając się tylko ze słyszenia i z tych faksów.

#### **W takim razie ta korespondencja musiała mieć także wymiar prywatny?**

Tak, tak. Pisaliśmy nie tylko o rzeczach związanych z wydaniem książek, ale także o bardziej osobistych sprawach. Staszek pisał o swoich planach, o podróżach. Informowaliśmy się, co się u nas dzieje, i muszę podkreślić, że z jego strony to zawsze był kontakt niesłychanie serdeczny i ciepły. Staszek był bardzo dobrym człowiekiem, pełnym dobrych uczuć dla ludzi, zwłaszcza dla przyjaciół. Takie właśnie kontakty mieliśmy do czasu jego pierwszego przyjazdu do Polski w 1990 roku. Miłosz czuł się gospodarzem polskiej poezji i kolejno zapraszał do Krakowa Brodskiego, Barańczaka, Venclovę i wspólnie z nimi czytał wiersze w Collegium Novum, gromadząc ogromne tłumy. To coś, co dzisiaj właściwie trudno sobie wyobrazić. Wszystkie te wnętrza, w których odbywały się wieczory poetyckie, w kościele Świętej Katarzyny, w Teatrze imienia Słowackiego, były całkowicie zapełnione! Morze głów, rozświetlone oczy, cisza... Tysiąc osób tam wchodziło! Niezwykle było też podpisywanie przez poetów książek w kawiarni Noworolskiego, która ma taki układ, że można wejść z jednej strony, przejść przez całą kawiarnię i wyjść z drugiej strony. Poeci siedzieli przy kolejnych stolikach, wzdłuż których ludzie przechodzili, zbierając autografy na książkach lub almanachach festiwalowych, i wychodzili z drugiej strony. Na rynku w długiej kolejce stało dwa tysiące osób. Pamiętam wstrząsniętego Adama Zagajewskiego, któremu nie mieściło się w głowie, że musieli go przeprowadzać ochroniarze. Staszka niestety nie było wtedy w Polsce. Był za to wcześniej z Miłoszem na Uniwersytecie Jagiellońskim i wygłosił wykład. Wydawaliśmy wtedy pismo „NaGłos”, kontynuujące tradycję „pisma mówionego”, którego spotkania odbywały się w Klubie Inteligencji Katolickiej.

Wieczory te były pretekstem do tego, żeby pisarze, którzy nie mogli się oficjalnie ukazywać w druku, zaprezentowali swoje utwory. Do „NaGłosu” zawsze przysyłał swój utwór Staszek Barańczak – albo wiersz, albo jakiś przekład. Był z nami nawet wtedy, kiedy nie mógł tu być. Przez siedem lat, gdy już mogliśmy wydawać drukowane numery „NaGłosu”, ukazało się 28 numerów i prawie w każdym z nich był Barańczak. Gdy przyjechał w 1990 roku, oprowadzaliśmy jego i Anię po Krakowie. Pamiętam zabawną scenę na Skałce. Tam jest taki basen, sadzawka, w środku stoi figura Świętego Stanisława. Kiedy pokazywaliśmy Barańczakom to miejsce, Broniek, który zawsze z kamienną twarzą wygłasza najbardziej absurdalne historie, powiedział: „Jak Marian się tutaj ostatnio kąpał, to mu rąbnęli łachy”. Widziałem, że Barańczakowie bacznie przyglądali się później Marianowi Stali. Marian był ofiarą naszych ciągłych żartów. Broniek i Jurek Pilch co tydzień wymyślali mu jakieś nieprawdopodobne pseudonimy: Pizza Duce, Madame Lulu, Żółte Psisko, Ponton i tym podobne, którym towarzyszyły równie malownicze narracje. Staszek ze swoim cudownym poczuciem humoru, zmysłem absurdu i purnonsensu doskonale łapał te żarty. Świetnie się rozumieliśmy.

Jego drugi przyjazd miał miejsce bodajże w 1995 roku, kiedy odbierał doktorat honoris causa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Pojechaliśmy na tę uroczystość z Wisławą Szymborską, która wymyśliła, żeby kupić mu rzeźbę krasnala ekshibicjonisty. W zaprzyjaźnionej drukarni owinęliśmy go w papier pakunkowy i powstała taka duża, tajemnicza bryła. Weszliśmy do sali, a tam powaga, parada, wszyscy w togach, senat... Jak już się odbyły te wszystkie mowy, laudacje i ceremonia się zakończyła, był czas na gratulacje, życzenia i uściski. Udając uginanie się pod ciężarem pakunku, wręczyliśmy go Barańczakowi, mówiąc, że to kosztowna rzeźba od środowiska pisarzy krakowskich. Staszek wziął od nas ten pakunek i podniósł go do góry, bo w rzeczywistości był bardzo lekki. Rozewał papier i oczom wszystkich ukazał się krasnal z obnażonym malutkim przyrodzeniem. W czasie tej samej wizyty Barańczaka w Polsce odbył się w Poznaniu wieczór mówionego „NaGłosu” w ramach czwartkowych spotkań w Pałacu Działyńskich. Pojechaliśmy do Poznania z całą ekipą krakowską – Wisławą Szymborską, Marianem Stalą, Ryszardem Krynickim, Julianem Kornhauserem, Bronkiem Majem. Dołączył do nas Piotr Sommer i poznańczy autorzy. Między Szymborską a Barańczakiem odbył się pojedynek na limeryki. Pamiętam, że Wisława mówiła o swoim dobrym pomysle na początek limeryku, którego nie mogła jednak dokończyć:

Żył pewien facet w Manitobie  
Pod każdym względem taki sobie...

Barańczak od razu wymyślił dalszą część limeryku:

Także gdy chodzi o głowy,  
Był najzupełniej typowy,  
Albowiem miał je obie.

Wcześniej, w 1993 roku, byłem w Stanach Zjednoczonych na stypendium, na kursie dla wydawców organizowanym przez Uniwersytet Stanforda. Po zakończeniu tego trzytygodniowego kursu byłem przez kilka dni w Nowym Jorku, a Staszek cały czas bombardował mnie telefonami z żądaniem mojego przyjazdu do Bostonu. Wsiadłem w pociąg i pojechałem do Barańczaków na tydzień. To była prawdziwa orgia kulinarna. Ania Barańczak jest niesamowitą kucharką. Wiedząc, że do nich przyjadę, spytała mnie o ulubione potrawy. Odpowiedziałem, że nie jestem wymagający i mogę jeść cokolwiek. Na co ona, poważnym głosem, odparła, że w takim razie nie mam czego u nich szukać.

Barańczakowie byli niesłychanie gościnni i Staszek koniecznie chciał zrealizować swój żelazny repertuar dla gości. Wypożyczył kasety VHS z nagraniem rzutami za trzy punkty Larry'ego Birda z Boston Celtics oraz jego ulubioną komedię *My Blue Heaven*. Obwozili mnie po Nowej Anglii, pokazując różne ciekawe miejsca. Mieliśmy dość zabawną przygodę na wybrzeżu. Zawieźli mnie w swoje ulubione miejsce, gdzie jeździli często nad ocean. Woda rozpryskiwała się o skały przy brzegu i wysokie pióropusze fal wznosiły się do góry. Bardzo chciałem mieć zdjęcie, jak stoję na ostatniej skale, która jeszcze nie jest zalewana przez fale, a woda wznosi się za moimi plecami. Wdrapałem się na którąś ze skał, a Ania czekała z aparatem na moment rozprysnięcia się fali. Nagle przyszła fala o wiele większa od pozostałych i spadła na mnie, przemaczając mnie do suchej nitki. Ania ze śmiechu nie dość, że nie zrobiła zdjęcia, to jeszcze musiała pogodzić się z faktem uszkodzenia aparatu, którego później nie dało się naprawić. Ja byłem cały przemoczony i przemarznięty, więc w najbliższym sklepie kupiłem grubą białą bluzę z pacyfą. Pamiętam, że z wyjazdu ze Staszkiem przywiozłem jeszcze wielki żółto-niebieski ponton. W Polsce takie rzeczy nie były jeszcze wtedy zbyt łatwo dostępne. Dość zabawne było targanie tego pontonu z Ameryki – miałem ze sobą jeszcze składane wiosła. Moje dzieci miały później ogromną frajdę, gdy jeździliśmy nad jeziora i pływaliśmy na tym Staszkowym pontonie.

**Mówi Pan o wielu rozmowach z Barańczakami i beztro-  
skim spędzaniu czasu. Czy Barańczak oprócz tego był,  
tak jak wspomniany wcześniej Miłosz, głodny informa-  
cji o tym, co dzieje się w Polsce?**

Staszek miał wiele kontaktów z przyjaciółmi i był na bieżąco informowany o wydarzeniach. Zresztą wcześniej był członkiem KOR-u, więc oprócz swojej twórczości przekładowej i działalności na uniwersytecie na bieżąco śledził sytuację w Polsce. Trzymał rękę na pulsie, także jeśli chodzi o bieżące tematy literackie. Podczas spotkania na konferencji *Ameryka Barańczaka* czytałem fragmenty listu Staszka, w którym w przezabawny sposób rozprawia się z nieudolnym tłumaczeniem powieści Susan Sontag. Trzeba przyznać, że Staszek miał bardzo cięty język, jeśli chodzi o polemiki literackie. Sprawy literatury traktował bardzo poważnie.

**A jak w takim razie układała się Panów współpraca  
w kwestiach wydawniczych?**

W naszej korespondencji są także takie listy czysto techniczne, które zawierają całe strony uwag dotyczących korekty. Staszek zawsze sam robił korektę, niezależnie od naszej korekty robionej w wydawnictwie. Pamiętam, że gdy Staszek robił korektę któregoś ze swoich tomów, ja również się do tego zabrałem. Nanosiłem jego poprawki na swój egzemplarz i zacząłem porównywać nasze błędy. Pomyślałem sobie, że zrobię taki „mecz” – ile błędów puścił Staszek, a ile ja? Przy każdym błędzie robiłem na kartce kreskę. Raptem, na końcu okazało się, że wynik był remisowy: 23:23. Muszę przyznać, że było to dla mnie dość przygnębiające doświadczenie, bo pokazało, że nieważne, ile razy będzie się czytać dany tekst i jak bardzo będzie się skoncentrowanym, zawsze przeoczy się jakiś błąd. Innych uwag nie miałem, bo to wszystko było tak genialnie zrobione, że nie trzeba było spierać się o żadne kwestie językowe czy merytoryczne.

**Czy już później, po wydaniu książek, Barańczak w jakiś  
sposób ustosunkowywał się do ich recepcji? Myślę tutaj  
na przykład o dość dziwnym skandalu, który przy-  
padkiem został wywołany przez książkę *Bóg, Trąba  
i Ojczyzna*.**

O tym zbiorze mam całą teczkę z wycinkami z gazet i listów! Powodem afery był nawet nie tyle sam tekst Barańczaka, ile raczej ilustracje Wojciecha Kołyszki, który wtedy był naszym nadwornym grafikiem. On miał taki zmysł karykatury, który i w tych ilustracjach dał o sobie znać. Przyczyną nieszczęścia okazał się ten słynny cztworowiersz ze Słowackiego, który mówił o witanii słowiańskiego papieża. Bo cała zabawa polegała na przerabianiu najbardziej znanych wierszy polskich poetów na wiersze o słoniach – podtytuł książeczki brzmiał bowiem *Słoń a Sprawa Polska oczami poetów od Reja do Rymkiewicza*. Były tam na przykład takie parodie: „Słonczku mój! a leć, a piej!”, „Hej, ty na szybkim Słoniu, gdzie

pędzisz, Kozacze”, „Odkąd zniknęła jak Słoń jaki złoty – w namiocie nie mam poczucia ciasnoty”. Przy parodii Słowackiego Wojtek narysował papieża z trąbą, w białej piusce i zaczęło się absolutne piekło. Mój stołek redaktora mocno się chybotał. Staszek bardzo przeżywał te ataki. Dla nas obu było nie do pomyślenia, że te niewinne żarty odebrano śmiertelnie poważnie. Polska publiczność okazała się kompletnie pozbawiona poczucia humoru. Nie było u nas tradycji Monty Pythona. Jakieś dewotki przychodziły do księgarni i ciskały tą książką, „Tygodnik Powszechny” dostawał masę listów... Cała moja teczka z wycinkami z gazet byłaby świetnym przyczynkiem do rozważań nad tą dziwną polską ułomnością.

### **Czy po tym wydarzeniu Barańczak stosował wobec siebie mechanizm autocenzury?**

Ależ skąd! Uznał to za jakąś absurdalną, purnonsensową sytuację – nie było żadnego powodu, żeby zakładać sobie kaganiec i ograniczać się w tym, co się robi. Nikt przytomny przecież nigdy by nie pomyślał, że chcieliśmy w jakikolwiek sposób uwłaczać czci Ojca Świętego.

### **Skoro nazwisko Miłosza kilkakrotnie już padało, chciałabym zapytać o jego reakcję na ten tomik i skandal, który został wywołany. Czy ta sytuacja do niego dotarła?**

Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Na pewno Miłosz bardzo cenił Staszka, oni się przyjaźnili. Podziwiał go i uważał, że to geniusz, który przytrafił się polskiej literaturze. Co do Miłosza – ostatnio miał miejsce bardzo nieprzyjemny incydent, o którym mało kto wie, więc warto o nim opowiedzieć. Byłem w Wilnie i opowiadano mi o projekcie „schodów Miłosza” – schodzących od Bakszty po zboczu w dół ku Wilejce. Miałyby one upamiętniać Miłosza – poetę „obojga narodów”. Projekt miał być finansowany i z budżetu Litwy, i z budżetu Polski. Polskie ministerstwo kultury chciało wycofać się z tej inwestycji, jeżeli nie zostaną usunięte dwa cytaty, które miały pojawić się na tych schodach – po pierwsze, stwierdzenie, że Miłosz był jednym z najwybitniejszych poetów XX wieku, a po drugie, że był ostatnim obywatelem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Na szczęście udało się jakoś zażegnać całą sytuację, ale i tak niesmak pozostał.

### **Poruszam temat Miłosza, bo wydaje mi się, że chyba można by było mówić o pewnym podobieństwie między tymi wielkimi poetami, zarówno pod względem biografii, jak i twórczości – późne wiersze Barańczaka zbliżają się do dykcji Miłosza.**

Zgadzam się z tym spostrzeżeniem dotyczącym poetyki późnego Barańczaka. Te teksty już nie odklamują i nie

przedrzeźniają języka, jak we wczesnej twórczości, ale zmierzają w stronę metafizyki. Nie powiedziałbym natomiast, żeby ich biografie były podobne. To wszystko działo się w innych czasach. Miłosz swój trudny czas przeżywał 30 lat wcześniej, gdy zerwał z PRL, ukrywał się w Maisons-Laffitte. Był atakowany ze wszystkich stron, i przez emigrację, i przez krajowych propagandyistów. Staszek czegoś takiego nie przeżył, choć oczywiście miał swoje trudności. Miłosz podjął wtedy decyzję, która wydawała się niemalże samobójstwem. Mam na myśli przede wszystkim zerwanie ze swoją publicznością, z czytelnikami. Musiał liczyć się z tym, że zniknie z rynku wydawniczego. Pamiętam nasze dramatyczne rozmowy w Kalifornii. Miłosz wspominał, że swoje wiersze porównywał do tekstów wrzucanych do dziupli w drzewie – kto kiedyś do tego dotrze, kto to odczyta? Podobne jest to, że obaj poeci wyładowali w Ameryce i obaj wyznawali podobne wartości. Miłosz miał dystans do Ameryki, kultury masowej, telewizji i tym podobnych, natomiast pięknie pisał o Ameryce, którą zwiedzał. Parki narodowe, przyroda – to było dla niego szalenie ważne. Równocześnie tęsknił jednak do tego swojego „miasta bez imienia” i ciągle pisał o Wilnie. Staszek z kolei tą Ameryką był jakoś zafascynowany. Na nich obu można patrzeć jako na takich pośredników przerzucających pomosty pomiędzy literaturą polską a amerykańską, bo obaj tłumaczyli polskich poetów na angielski i poetów języka angielskiego na polski. Staszek opublikował zbiór esejów *Breathing under Water and Other East European Essays*. W tym była jego nieoceniona rola. Miłosz z kolei wydał głośną antologię *Postwar Polish Poetry: An Anthology* w 1965 roku, co dla Amerykanów było ogromnym odkryciem, że poezja może mówić nie tylko o miłości i subiektywnych przygodach ego, ale także o historii i poważnych problemach egzystencjalnych. Innym jego ważnym dokonaniem na tym polu była niejako programowa antologia *Wypisy z ksiąg użytecznych*, w Ameryce wydana jako *A Book of Luminous Things*.

### **Skoro jesteście przy temacie tłumaczeń – jaki wpływ na popularność poezji anglojęzycznej miała, w Pana opinii, Biblioteczka Poetów Języka Angielskiego?**

Myszę, że nie mieliśmy w naszej historii literatury takiego tłumacza, może poza Boyem, który tłumaczył z francuskiego. To, co zrobił Staszek... Prawie cały Szekspir! Do tego ten niesłychanie ambitny pomysł Biblioteczki, którego zdążył zrealizować jedynie jakąś część. W kolejnych tomach wymienione były nazwiska poetów, których miał w planach przyswoić polskiemu czytelnikowi. Świetne były także jego antologie: *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia, Od Walta Whitmana do Boba Dylana. Antologia poezji amerykańskiej czy Od*

*Chaucera do Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci.* Tłumaczył także z innych języków – ukazały się przecież przekłady z Mandelsztama czy Cwietajewej. Jako wydawcy dbamy o to, żeby nazwisko Staszka nie zostało zapomniane. Wydaliśmy ostatnio antologię *444 wiersze poetów języka angielskiego XX wieku*. To piękne, pomnikowe wydanie, które ma być hołdem dla Staszka i gestem przyjaźni. Potrzebni są ludzie, których ja nazywam strażnikami pamięci. Trzeba przypominać o ważnych autorach, bo często po swojej śmierci trafiają do literackiego czyścica, w taką cześć zapomnienia. Przykładem takiego strażnika pamięci jest dla mnie Wojciech Bonowicz, biograf księdza Tischnera i „kurator” jego twórczości, która dzięki temu, dzięki organizowaniu Dni Tischnerowskich i wznawianiu jego dzieł żyje, mimo że księdza Tischnera nie ma już z nami od kilkunastu lat.

Co do Biblioteczki, pamiętam, jak Andrzej Dudziński rozłożył na stole swojej pracowni w Nowym Jorku pierwsze tomy tej serii i przyglądał się ich okładkom. Do czwartego tomu Barańczak wydawał je w Arce. Na okładkach były czarne klepsydry. Andrzej wpadł na odważny pomysł zastąpienia ich zdjęciami – a to zdjęcie drzwi ze zdartą farbą, a to jakaś pęknięta szyba, a to kółko wyłożone w tynku przez haczyk pod okiennicą... To były takie detale w powiększeniu. Barańczak był zachwycony, od razu dopasował zdjęcia do konkretnych tomików: te „zranione”, zielone drzwi to Irlandia Heaney’a i tak dalej.

Wracając do Staszka – nasze ostatnie spotkanie miało miejsce w 2006 roku, w jego sześćdziesiąte urodziny. Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego uchwalił przyznanie Barańczakowi doktoratu honoris causa. Jego przyjazd do Polski był niemożliwy z powodów zdrowotnych, więc do Bostonu pojechała delegacja. Uniwersytet Harvarda udostępnił piękną salę. W ceremonii wzięło udział wielu przyjaciół Staszka, zwłaszcza że były to jego urodziny. Przyjechała Basia Toruńczyk, Adam Michnik, Tomas Venclova, Irena Grudzińska-Gross, Ewa Czyżewska... Wieczorem, w domu Staszka, Adam Michnik czytał mu jego wiersze z tomu *Jednym tchem*, który ukazał się wtedy, gdy Adam siedział w więzieniu. To były bardzo symboliczne i wzruszające chwile.

Później niestety stan Staszka się pogarszał. Moje ciągłe pytania w listach do Ani o jego zdrowie, o to, czy lepiej, spotykały się zawsze z odpowiedzią: „Lepiej już nigdy nie będzie. Cała rzecz w tym, żeby choroba postępowała jak najwolniej”.

**A czy w korespondencji z Panem Barańczak pisał kiedyś wprost o swojej chorobie?**

Tak, kiedyś tak, choć oczywiście to nie był temat, którym chciałby się jakoś specjalnie dzielić. W swojej poezji z wielkim dystansem do siebie pisze o kłopotach z wymawianiem poszczególnych słów. Mam jeden taki list, w którym Staszek bardzo szczerze pisze o postępach choroby i o tym nieszczęściu, z którym cały czas heroicznie się zmagał, pracując, dopóki był w stanie.

Bardzo żałuję, że nie mogłem pojechać na jego pogrzeb. Leżałem wtedy w łóżku z czterdziestostopniową gorączką i walczyłem z potworną grypą. Napisałem tekst do miesięcznika „Znak” o jednym z najpiękniejszych wierszy miłosnych, jakie kiedykolwiek powstały: *Plakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził*. Wisława Szymborska zdobyła się na to, żeby przeczytać ten wiersz podczas wieczoru pamięci Barańczaka w krakowskiej Mangdzie. Są takie teksty, które sprawiają problem w głośnym czytaniu. Zawsze miałem na przykład wielką trudność z przeczytaniem na głos tekstu z *Pieska przydrożnego* Miłosza, dotyczącego śmierci Krzysia z *Kubusia Puchatka*. Podobne uczucia miał Wojciech Kilar, który nie był w stanie przeczytać tego tekstu żonie, bo wzruszenie odbierało mu głos. Ten wiersz Barańczaka również jest tak poruszającym tekstem, że przeczytanie go publicznie graniczy z cudem, ale Wisława się na to zdobyła. Każdy z przyjaciół wybrał sobie jakiś wiersz Staszka, którym go żegnał, i Szymborska przeczytała właśnie *Plakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził*.

Znajomość ze Staszkiem Barańczakiem była dla mnie jedną z najważniejszych przyjaźni w życiu. Zawdzięczam mu także to, że mogłem poznać Josifa Brodskiego, Seamus’a Heaney’a, Charles’a Simica. Samo powoływanie się na znajomość ze Staszkiem otwierało natychmiast wszystkie drzwi i dawało z góry kredyt zaufania, pokazujący, że jest się w gronie przyjaciół. Chyba nigdy nie spotkałem nikogo o gorętszym sercu od Heaney’a. Poznanie tych ludzi było możliwe dzięki Staszкови – on był cudownym pośrednikiem między nami. Możliwość zawarcia takich przyjaźni była czymś niesamowitym. Pojmuję ten przywilej jako wielkie szczęście, ale też jako pewien dług, dlatego pisząc o nich, staram się pokazać ich nie tylko jako wielkich twórców, ale także jako mądrych, dobrych ludzi. •